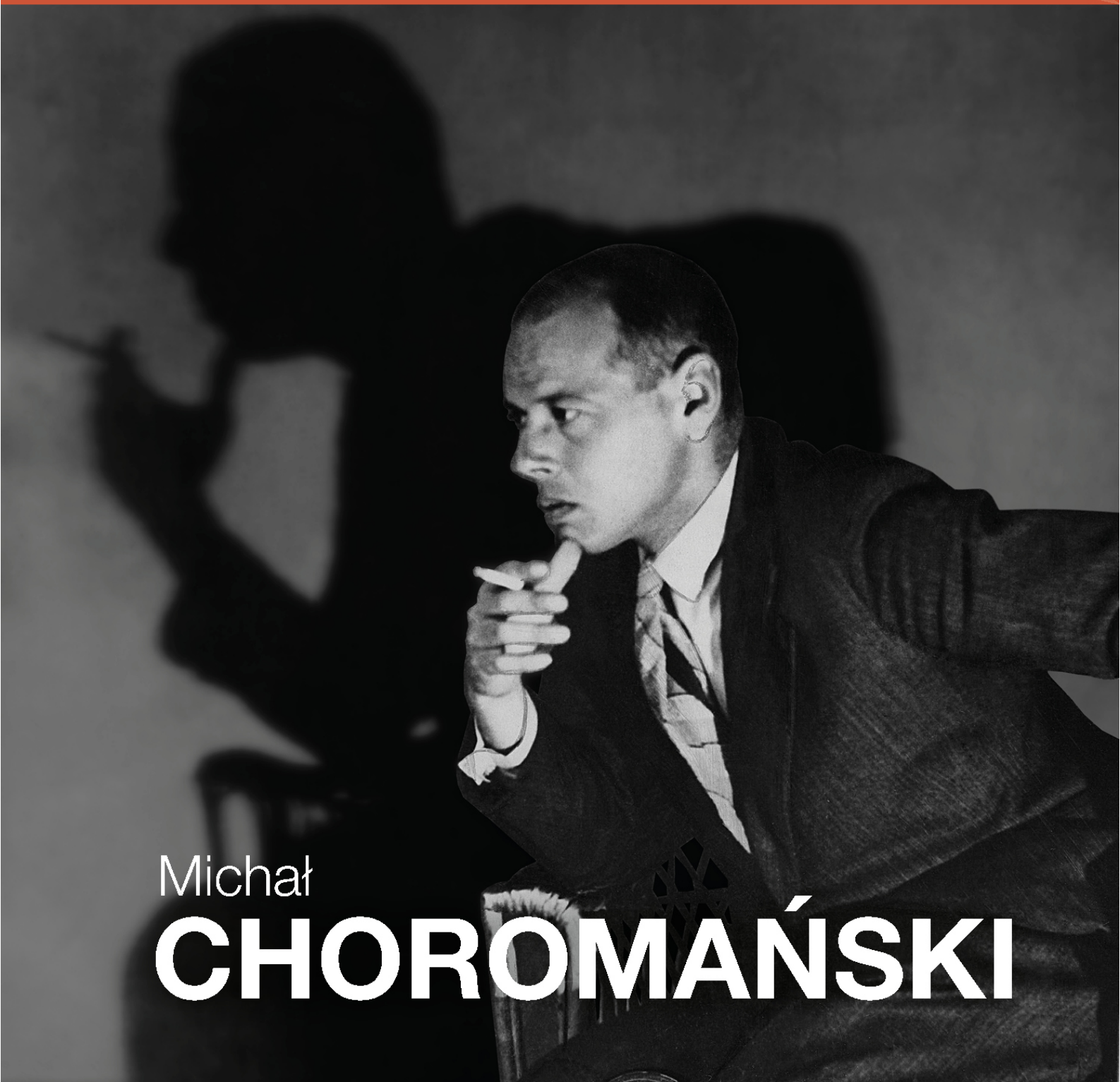


Memuary

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

MEMUARY

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-13-5

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976

Projekt okładki: Marcin Labus

Fotografie ze zbiorów Michała Choromańskiego

Spis treści

Przystojny blondyn. Podслуchałem bardzo dziwną rozmowę

Lourdes. O mało nie zostałem mnichem

Dziesięć groszy. Stolarz-ekscentryk wyrzuca mnie na bruk

Otto Weininger. Grabarz-stroiciel i niebezpieczna pianistka

Wysięk

Zdarzenia bez pointy

O co tu szło?

Witkacy w Belwederze

Trochę o „orgiach” z Witkacym

Witkacy, człowiek skłonny do wybuchów gniewu

Witkacy

Siedem depeusz

Zagadka. Z panną na cmentarzu. Mężczyzna z rewolwerem

Wybitni ludzie, których znałem. Monsieur Piston

V-2 (?)

Wywiad

Tour de France

Legitymacja Pen Clubu

O przeczuciach

Kto to był doktor Bexon? Lekcja języka angielskiego

Arrasy

Drobiazgi

FOTOGRAFIE

Przystojny blondyn. Podsluchalem bardzo dziwna rozmowe

W Zakopanem, na dlugo przed wojna, mieszkal pan Ambrozewicz. Bardzo wysokiego wzrostu, elegancki brunet, garbatonosy – odznaczal sie konserwatywnymi zapatrywaniami. Mimo mlodego wieku – z pewnoscia nie mial jeszcze czterdziestki – zyl w przeszlosci.

Czytal tylko klasykow i stroil sie ze staroswiecka wytwornoscia. Troche sie perfumowal. Myslamy przebywal w XIX wieku. Mimo to przyznil sie z Witkacym, ktorego poznal przeze mnie. Nie wiem, czy gdzie zachowaly sie jego portrety w typie „C” i „E”. Witkacy widocznie go lubil, bo zawsze wypiekszal.

Ambrozewicz mial kawerny w jednym plucu i bardzo zarloczny gatunek gruźlicy, ktora w koncu go zmogla. Ale ze wzgledow ideowych nie godzil sie na pneumotoraks, ktory z pewnoscia by go uratowal.

Zastrzyki ze zlota oraz pneumotoraks mialy w sobie cos z nachalnego gwaltu i parweniuszostwa naszej epoki – tak sadzil. Ambrozewicz marzyl o kumysie, ktorego w Zakopanem, niestety, nie bylo. Postepowi lekarze zakopiańscy, stosujacy nowoczesne srodki, wydawali mu sie podejrzeni. – To francuska moda! – mawial o odmie. I zaraz potem dodawal, cytujac Czechowa: – Kto lubi francuska musztarde? Chyba tylko Francuzi!

Sposrod lekarzy w Zakopanem wybral jedyne, ktory odmy nie stosowal. Byl to staruszek, tez stroniacy od nowatorstwa, chociaz przebakowano, ze czynil to nie bez praktycznego celu. Przygarnial w ten sposob do siebie tych wszystkich, ktorzy odmy sie bali.

Ponoc nie stosowal nawet zastrzykow wapna, co Ambrozewicza jeszcze bardziej do niego pociagalo. – Co warte sa zastrzyki – prychal. – Tez francuski wynalazek! Nie ma jak dobry kompres i goraca herbata z malinowym sokiem na poty.

Wygladalo to na zart. I w glębi duszy jestem przeświadczony, ze troche zartowal. Ale zart ten kosztowal go zycie. Z drugiej strony przebywal nadal w XIX wieku i na swój sposob pozostal logiczny.

W XIX wieku ludzie byli szczęśliwsi i obchodzili sie bez odmy. Gdyby ja zastosowal, przeniósłby sie do innej historycznej epoki, z ktora nie bardzo chcial obcowac. Taka niekonsekwencja zachwialaby jego wewnetrznym spokojem, o ktory bardzo dbal. Bo byl sybaryta i otrzymywal dosc znaczna kwote miesiecznie od swych rodzicow, mieszkajacych stale w Rumunii. Zona jego byla malarka i ilustrowala ksiazki dla dzieci.

W wolnych chwilach, miedzy wysiekami, Ambrozewicz napisal ksiazke, ktora nigdy sie nie ukazala. Byla to opowiesc o nad wyraz niesympatycznym i bezwartosciowym osobniku, zabitym na froncie w czasie wojny 1914 roku, w okolicznosciach wiecej niz podejrzanym. Cos tam bylo. Ni to prywatna bitka, ni to kara za przestepstwo. Ale los chcial, ze kiedy po wojnie wzniesiono pomnik Nieznanego Zolnierza, umieszczono pod nim zwloki wlasnie tego bezwartosciowego osobnika. Wszak taka omylka teoretycznie bylaby mozliwa, dowodzil.

Jeśli obecnie twarz moja bardzo odpycha, w mlodosci – sam nie wiem dlaczego – bardzo pociagalam ludzi. Mam nieznośne uczucie, ze à la longue sprawilem im zawod. Musze przelamac w sobie wstydliva skromnosc, zeby opowiedziec, jak to bylo z Ambrozewiczem. W jaki sposob go poznalem.

Mieszkalismy w tym samym zakopiańskim pensjonacie „Sanato”, przerobionym obecnie na sanatorium. Bylem jeszcze smarkaczem, aczkolwiek doswiadczeniami swymi, jako suchotnik, moglem zawodniczyz ze starszym pokoleniem. Chodzilam o kulach, poniewaz noge mialam w gipsowych bandazach.

Bylo to zdaje sie w 1926 roku, na pare miesiecy przed moim najgorszym okresem zakopiańskim. Okresem biedy i glodowki, kiedy musialam przeniesc sie na Nowatorska do sutereny, mieszczacej sie obok chlewika. Za przepierzeniem dzien i noc kwilila swinia.

Ale mieszkając w „Sanato”, takiej przeszłości sobie nie przepowiadałem. W ogóle niczego sobie nie przepowiadałem, bo zawsze z natury byłem lekkomyślny i żyłem z dnia na dzień.

Owszem, myślałem sobie nieraz, że może napiszę powieść, ale były to bardzo mgliste chęci, i nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Młodzież obecna jest znacznie zaradniejsza. Słyszałem sam, jak pewien młodzieniec powiedział, że zamierza poświęcić się literaturze, bo to w naszych czasach najwięcej popłaca. – A co do talentu – dodał – to już rzecz drugorzędna. Inni mogą, to dlaczego ja nie?

Z początku trochę się zdenerwowałem. Ale po namyśle i przeczytaniu niektórych naszych powieści, musiałem przyznać mu rację. Zresztą znam wypadek, kiedy ktoś uległ poniekąd presji publicznej i też odnalazł w sobie powołanie do literatury pięknej, bo bardziej niż co innego mu to popłacało. O tym wypadku właśnie opowiadam.

Otóż w bawialni „Sanato” Ambrożewicz pierwszy, i ni stąd, ni zowąd, podszedł do mnie z wyciągniętą dłonią.

– Pan pozwoli, że się przedstawię – rzekł. – Pan jest powieściopisarzem? ,
Otworzyłem usta. Potem je zamknąłem.

– Ja? Skąd!

Usiadł obok. – Dziwne! – rzekł.

Musiało tu być jakieś nieporozumienie.

– Może jestem do kogoś podobny? – spytałem.

Zerknął błyszczącymi oczami tak dziwnie, że przez chwilę uczułem się przystojną kobietą, której wszyscy się przyglądają. „A może po prostu nie jestem ogolony?” pomyślałem i ręką dotknąłem policzka. Bo czymże w przeciwnym razie tłumaczył się jego podziw?

Wtedy stała się niepojęta rzecz, która z każdym rokiem wydaje mi się zabawniejsza – jeśli, ma się rozumieć, kpina z samego siebie może nas bawić. Słowo daję, że nie blaguję. Ambrożewicz popatrzył mi na czoło, potem na nos i wreszcie wyrzekł, co następuje:

– Dziwne. Wie pan, wkoło pana jest jakaś aura. Może pan nie jest powieściopisarzem, ale pan na pewno będzie wielkim powieściopisarzem w przyszłości!

O mało nie zsunąłem się z fotela, a kule poleciały na dywan. Czuję ogromne zażenowanie, kiedy o tym wspominam, i niech duch Ambrożego – bo tak go nazywał Witkacy – wybaczy mi zawód, który mu po latach sprawiłem. Pisałem już o tym, że miałem zawsze na twarzy coś z hochsztaplera. Nie tylko że pociągała do siebie, ale pełna była obietnic, których nie miałem zamiaru dotrzymać.

Dość na tym, że stąd wynikła moja przyjaźń z Ambrożewiczem, tym bardziej cenna, że dzieliły nas różne stopnie zamożności. Byłem na najniższym. Często ich odwiedzałem i chociaż potem w Zakopanem miałem gdzie mieszkać – nieraz spędzałem u Ambrożewiczów po kilka dni naraz. Mieli ładne mieszkanie i gościnny pokój.

I oto w czasie takiego pobytu u nich poznałem pana Tadeusza. Nie wiedziałem, kto to taki, bo gazet nie czytałem do trzydziestego roku życia, a polityką się nie zajmowałem. Było to w końcu jesieni. Spadł śnieg, i za oknami widać było zaśnieżone korony jarzębin niczym poduchy o białej podartej poszewce spod której wyzierały czerwone plamy wyspy.

Leżałem na kanapie w gościnnym pokoju. Drzwi do przedpokoju były otwarte, a do sąsiedniego gabinetu – uchylone. Po południu rozległ się dzwonek i widziałem, jak strząsając śnieg z palta wszedł do przedpokoju młody i bardzo przystojny blondyn. Miał grecki typ urody: prosty nos zlewający się niemal z czołem. Ucałował się z Ambrożym z dubeltówki.

– Tadziku! – zawołał gospodarz i poklepując gościa po ramieniu, zaprowadził go do gabinetu. Po chwili rozległ się brzęk kieliszków.

Przez uchylone drzwi słyszałem wszystko, ale z początku nie słuchałem – nie tyle przez dyskrecję, co po prostu pochłonięty byłem lekturą. Czytałem Edgara Wallace'a, któremu wiele dobrego zawdzięczam. Dopiero gdy z gabinetu doszedł podniecony głos gościa,

mówiącego coś dziwnego o rękach i butach, nastawiłem ucha. Trudno było zrozumieć, o co szło, ale było to naprawdę bardzo dziwne.

– Ręce miałem ot tak! Patrz! A tuż przed twarzą te lakierowane buty – powtórzył głos gościa.

– Z cholewami? – spytał Ambrożewicz.

– Oczywiście!

– Mówiłeś, że krew?

– Uczułem coś ciepłego na twarzy i słodkawy smak pod językiem. Patrz! Tu były te buty. A ręce miałem o tak! Patrz!

Wstałem, kaszlnąłem i zająrzałem przez drzwi. Ale nie zwrócili na mnie uwagi.

Zdębiałem.

To, co zobaczyłem w gabinecie, bardzo kontrastowało z antycznymi meblami Ambrożewicza, lubiącego XIX-wieczny komfort. Gospodarz siedział w fotelu i przechylony naprzód – obserwował gościa klęczącego między kanapą a stolikiem. Urodziwa, nobliwa twarz Ambrożego wyrażała sensacyjne zaciekawienie, tak jak gdybym to nie ja przed chwilą czytał Edgara Wallace'a, ale on. Gość natomiast zgiął się wpół i trzymając ręce wykręczone do tyłu, policzkiem dotknął dywanu.

Był w szarym ubraniu i brązowych trzewikach. Więc o czyje buty z cholewami chodziło? Naraz ku memu zdumieniu rozprostował ramię i walnął samego siebie w szczękę. Z jednej strony, z drugiej. Po czym wstał, żeby parokrotnie kopnąć nogą powietrze, niczym niewidzialną piłkę. Słyszałem, jak sapał. Co to wszystko oznaczało? Wróciłem na kanapę. Głosy były coraz bardziej ożywione.

– Tak jest! A więc rozumiesz? Wykręcono mi ręce do tyłu, a potem zaczęto kopać! – powtórzył głos gościa.

Ambrożewicz gwizdnął.

– Było to już w aucie?

– W czarnej limuzynie – odpowiedział gość.

– A kto otworzył drzwiczki?

– Ja sam.

Ambrożewicz znowu gwizdnął.

– Wciągnięto mnie do wnętrza za kołnierz – poskarżył się głos.

– A mówiłeś, że wokoło było pełno policji?

– Właśnie! Na rogu stał komisarz. To mnie od razu zastanowiło. Dlaczego taka wysoka szyszka stoi na miejscu posterunkowego?

– A czy było ciemno?

– Latarnie się świeciły, ale padał cień od drzew.

– Jak to było? Czy limuzyna zajechała przed ciebie?

– Z wolna sunęła mi naprzeciw i w pewnej chwili zatrzymała się. Pomyślałem – co tu robi o tej porze? Przecież znam wszystkich sąsiadów dokoła. Dlaczego miała wygaszone światła?

– I co?

– Instynkt dziennikarza! – odpowiedział głos nieco chępliwie.

– Podpowiedział ci instynkt?

– Mam nosa! Pochyliłem się do otwartego okienka limuzyny, a stamtąd ktoś do mnie mówi: „Dobry wieczór panu!” Otworzyłem drzwiczki i widzę – czyjaś dłoń.

– I co?

– Uścisnąłem ją, psiakrew!

– Dlaczego psiakrew?

– Bo nie chciano mej ręki potem wypuścić. Trzymano jak w kleszczach. A ktoś inny wciągnął mnie za kołnierz.

– A wielu ich było?
– Dwóch na tylnym siedzeniu, dwóch z przodu.
Ambrożewicz roześmiał się.
– Sam otworzyłeś drzwiczki? – powtórzył.
– Sam! Dobrze ci się śmiać – odpowiedział głos z pewnym niezadowoleniem. –
Zmasakrowano mnie. Leżałem twarzą w dół na chodniczku pod ich butami.
Kieliszki zabręczały. Popatrzyłem ze zdziwieniem na rozwartą książkę – czy to był
dalszy ciąg Wallace'a? O co szło?
– Michał! – zawołał Ambroży. – Chodź do nas!
W gabinecie przystojny blondyn siedział już w fotelu. Przywitał się i pomógł mi
postawić kule na bok. Miał ładne zęby i przyjemny uśmiech. Ale wciąż był. trochę zasapany.
– Michał z pewnością napisze powieść – przedstawił mnie Ambroży.
– Ja też! – odpowiedział gość.
Popatrzyliśmy na siebie z zaciekawieniem.
– A skąd pan o tym wie? – spytałem.
– Po tym wszystkim mam dość dziennikarstwa. Nie opłaca się! Zostanę
powieściopisarzem. To mnie ciągnie.
W ten sposób poznałem przyszłego autora „Znachora” i „Pamiętników pani Hanki”. Był
to przemiły kompan i później kiedyś w Bristolu pokazywał mi ludzi, którzy go bili.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI